Nr. 9. Poznań, dnia 25. Lutego 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

Generał Józef Hauke-Bosak.

(Z ryciną.)

Obecna wojna, która taką krwawą łuną otoczyła Francyę, która tyle żałoby, zniszczenia i klęsk na ludzkość sprowadziła, wybrała niestety i z pośród naszego społeczeństwa liczne dla siebie ofiary. Pomiędzy takiemi zaś, jedną z najszlachetniejszych i najzacniejszych jest — Józef Hauke-Bosak.

Zanim biograf szczegółowo opowie życie tego bohatera, postaramy się dziś choć szkicowo, jedynie w głównych zarysach narysować postać tego szlachetnego męża.

Urodził się on w samem sercu Polski, w Warszawie, w dniu 19 Marca 1834. Ojciec jego Józef, był bratem ministra wojny Maurycego, który w czasach przed 1830 rokiem odegrał taką smutną w dziejach narodu naszego rolę i zginął od własnych rodaków na bruku warszawskim, w chwili rozpoczynającego się wówczas krwawego dramatu, bo w samą noc 29 Listopada. Wystawiony przez cara Mikołaja pomnik na Saskim placu, świadczy do dziś dnia o wierności Maurycego Hauke dla cara. Ojciec naszego bohatera, był generałem wojsk polskich; — car Mikołaj, był zawsze wdzięcznym za wierną służbę dla siebie. — Jak tylko więc młody Józef pozostał sierotą, zabrał go natychmiast bez względu iż liczył zaledwie lat cztery do Petersburga. Postanowił się zająć jego wychowaniem. Znanym jest system wychowania tego żelaznego człowieka. Polegał on najzupełniéj na zabiciu wszelkiéj samoistności i na wyrobieniu dla siebie najpowolniejszego narzędzia. Co do Polaków, system ten miał jeszcze szersze ramy. Wypleniał on, wyrywał, że tak powiemy, gwałtownie nietylko wszelkie poczucie polskie, ale nawet pamięć o niém. Otóż pod takim systematem, odbierał nasz Józef w instytucie dla małoletnich pierwiastkowe wychowanie. Następnie przeszedł do szkoły paziów, pozostając w najzupełniejszéj niewiadomości tak co do swego pochodzenia jak i narodowości.

W 17 roku życia, ukończył rzeczone szkoły i pozyskał stopień porucznika huzarów; poczem ówczesny minister wojny powołał go na swego adjutanta. Mając lat dwadzieścia cztery mianowany został młody nasz Józef pułkownikiem gwardyi i sztabowym oficerem cara. Zaszczyt to w moskiewskiéj służbie nielada, a zawdzięczał go zarówno swéj pilności jak i stósonkom z rodziną cara. Wówczas bowiem Alexander książę Heski, szwagier cara ożenił się z jedną z sióstr stryjecznych Bosaka, wskutek czego car uważał za stósowne obsypywać go swemi łaskami i zaszczytami. Ale — łaski te i zaszczyty, nie ułudziły Bosaka, wiedział bowiem on już wówczas o swém pochodzeniu i narodowości. — Wiadomość ta, ogarnęła jasnością duszę tego szlachetnego męża i powiodła go na drogę obowiązku, z któréj już po koniec życia swego niezszedł. Jako pułkownik, wyrobiwszy sobie urlop, po raz pierwszy od chwili zabrania go do Petersburga, przybył do Warszawy. Tu starał się zbliżyć do młodzieży i wejść z nią w stósunki. Jego jednak mundur moskiewski, nieznajomość mowy ojczystéj, a wreszcie i pokrewny niejako stósunek z rodziną carską, wzniecały przeciw niemu uprzedzenia i podejrzenia, tak

że wskutek tego do żadnego bliższego stósunku przyjść nie mogło; nikt zaś niezadał sobie trudu wejrzeć w głąb duszy tego młodzieńca i przekonać się ile tam było szlachetności i ile miłości gorącéj dla ojczyzny.

Po krótkim więc pobycie w Warszawie, Bosak powrócił do Petersburga, gdzie niedługo zabawiwszy, udał się na Kaukaz, aby tam wyuczyć się czynnéj służby wojennéj. Książę Bariatynski, główno dowodzący na Kaukazie był serdecznym jego przyjacielem, powierzył mu więc dowództwo pułku, a następnie i dywizyi. W czasie zaś pobytu tam cara, przedstawił mu Bosaka, jako jednego z najwaleczniejszych. Car, w nagrodę jego usług, uściskał go w obec całéj armii i obdarował złotą szpadą. Podobne odznaczenie każdego Moskala, choćby najliberalniejszego, przywiązałoby na śmierć i życie do cara; na naszego Bosaka jednak, w duszy którego gorzało nieustające żarzewie miłości kraju nic nie podziałało, bo zaledwie doszła na Kaukaz pierwsza wieść o owych strzałach na krakowskiém przedmieściu, Bosak natychmiast podał się do urlopu, a pozyskawszy takowy, pojechał na Podole do swego przyjaciela Kaczanowskiego. Tu poznał jego siostrę, a pokochawszy ją serdeczną miłością, wkrótce połączył się z nią węzłem małżeńskim. Tymczasem dramat, przez Moskali rozpoczęty na bruku warszawskim, rozwijał się coraz więcéj i wyraźnie zapowiadał krwawe starcie. W obec tego Bosak postanowił podać się do dymisyi. Jakoż telegrafem wyprawił prośbę swą o uwolnienie. W miejsce uwolnienia odebrał napisany z rozkazu cara, list w. księcia Michała brata carskiego, zaklinający go, by cofnął swe podanie o dymisyę, w zamian za co przyrzekał mu nieustające łaski carskie. Bosak pozostał niezachwiany w swem postanowieniu i ponownie zażądał dymisyi. W obec takiego stanowczego i niewzruszonego żądania, upragnioną dymisyę otrzymał. Rozkuty z kajdan, które go tak długi czas krępowały, wyjechał natychmiast za granicę. W chwili téj już cała Polska pod zaborem moskiewskim, objęta była płomieniem powstania. W Galicyi, gdzie Bosak zatrzymał się, organizatorem wojskowym i dowódzcą wyprawy na Ruś, był jenerał Józef Wysocki. Bosak stawił się przed nim ofiarując służby swe sprawie narodowéj a zarazem i przedstawiając swe projekta wojskowe. Zanim projekta te były rozpatrzone — upłynęło sześć miesięcy; te niemogły być jednak przyjęte, nie aplikowały się bowiem do natury wojny przez nas prowadzonéj. Ale i samo przyjęcie Bosaka do szeregów narodowych napotykało na rozmaite trudności. Dopiero rząd zwany Wrześniowym, usunąwszy z naczelnictwa wojennego województwa krakowskiego Jordana, powołał w jego miejsce Bosaka. W początkach października już Bosak stawił się w naznaczonem mu województwie i objął dowództwo nad wszystkiemi w nim znajdującemi się oddziałami. Mając pod sobą oddziały Zygmunta Chmielińskiego, jednego z najdzielniejszych oficerów powstańczych, Eminowicza i innych, staczał nieustannie mordercze, a często zwycięzkie walki z Moskalami, w których odznaczał się zimną krwią i nieustraszoną walecznością; przymioty te, oraz jego zabiegi i gorliwość w formowaniu i utrzymywaniu oddziałów, jak z jednéj strony jednały mu miłość podwładnych, tak z drugiéj strony zyskały mu najzupełniejsze zaufanie Rządu Narodowego, który powierzył mu prócz Krakowskiego, jeszcze dowództwo naczelne w Sandomirskiem i Kaliskiem. W obec niesłychanie przeważających sił moskiewskich, gdy niepodobieństwem było już dłużéj powstanie utrzymywać, Bosak w d. 18 kwietnia 1864 r. po półrocznych ciężkich trudach i wysileniach, pożegnawszy się z swemi towarzyszami, opuścił Kongresówkę i udał się przez Drezno do Szwajcaryi. W Broelbergu pod Zurychem, na spotkanie Bosaka, wyszła emigracya z chorągwią na czele. Powitanie było serdeczne i istotnie zasługiwał on najzupełniéj na nie. Najdłużéj trzymał się na polu walki, bijąc się nietylko z wrogiem naszym, ale nieraz z głodem i chłodem — a wreszcie, witający go, czcili w nim owo piękne poświęcenie, które złamawszy i skruszywszy złote okowy, jakie go krępowały, odepchnąwszy wszystkie ułudy, które go najponętniejszemi obrazami przyszłości kusiły, służył z taką miłością, a tak wiernie i gorliwie, nieszczęśliwéj ojczyźnie.

Ze Szwajcaryi, gdzie jakiś czas przebywał, udał się do Włoch, zkąd znów powróciwszy do Szwajcaryi, stanowczo w Carouge pod Genewą zamieszkał. Parę lat temu, odwiedziliśmy go w tym jego, że tak powiemy, samotném ustroniu. Zajmował tam, w domku nie wielkim na pierwszem piętrze, maleńkie i skromne mieszkanie. Prostota i skromność uderzały nas na każdym kroku. Troje wówczas drobnych dzieci kręciło się po pokoiku, długim a wązkim — w którym Bosak zwykle pracował. Żona jego, bardzo przyjemnéj i miłéj powierzchowności, przysłuchując się naszéj rozmowie i od czasu do czasu mieszając się do niéj, a każde jéj odezwanie się, wykazywało i sąd wytrawny i wyższe wykształcenie, siedziała na boku, zajęta szyciem sukienki dla jednéj z swych córeczek. Mówiliśmy o przeszłych chwilach — mówiliśmy i o przyszłości Polski. Atoli miłość dla niéj i wiara w przyszłość jéj, biły z każdego słowa Bosaka; a o prawdzie ich świadczył każdy jego ruch, drgnienie każdego muskułu. Prawdą tą i uczuciem każdego rozgrzewał i przyciągał do siebie. Wzrostu był on dobrego, budowy dość mocnéj, twarzy regularnéj i miłéj, czoła wyniosłego, włosów ciemno-blond, krótko uciętych, ruchów żywych, oczów połyskujących, jakby gorączką trawionych. Cała ta powierzchowność jego, czyniła z niego bardzo sympatyczną postać. Przedewszystkiem co uderzało w nim, za pierwszem niemal zetknięciem się — oto — poetyczność jego duszy — i niesłychana wiara w ludzi. Płynęło to nie z nieznajomości świata, w potoczném znaczeniu tego słowa, bo formy jego, przekonywały, że człowiek ten żył w świecie, ale z braku znajomości życia praktycznego i prób doświadczenia. Téj to wierze i poetyczności przypisać należy, dziwne nieraz jego występowanie polityczne, a które u tych, którzy jego całéj głębi duszy nie znali, wyzywało niezasłużone wyroki i potępienia. Bosak całą gorącą i namiętną duszą swą kochał Polskę i republikańskie formy. Ztąd też nie używał on nigdy tytułu hrabiowskiego, który jego rodzinie, a tem samém i jemu, jeszcze przez cara Alektandra I nadanym został. Kochając Polskę — pragnął jéj nieustannie służyć, a niestety, nieraz pyszałki rozmaitego rodzaju wcią-

gali go w rozmaite przedsięwzięcia, które z Polską nic wspólnego nie miały. Jego naturą wrażliwą, poetyczną a duszą czystą, nie pojmującą nic innego tylko gorącą służbę dla Polski, można wytłomaczyć jedynie, jego udział w Ognisku rewolucyjném i Lidze pokoju. Do pierwszego nie długo należał; jak tylko przekonał się o jego niepraktyczności, natychmiast zeń ustąpił. W Lidze pokoju występował zawsze ze stanowiska polskiego i nigdy nie łączył się z dążnościami Bukunina i innych.

Jeszcze podczas pobytu swego we Włoszech, udał się na wyspę Caprerę celem odwiedzenia Garibaldego. Było coś pomiędzy niemi pokrewnego — taż sama prostota, taż sama poetyczność i taż sama szlachetność i głęboka wiara w lepszą przyszłość ludzkości, charakteryzowała obydwóch. Od pierwszego więc zetknięcia się z sobą, zawiązała się szczera przyjaźń pomiędzy niemi. Skoro więc Garibaldi zdecydował się poświęcić swój miecz Francyi, Bosak natychmiast stanął obok niego, przekonany że służąc sprawie Francyi i wolności, służy tem samém i Polsce. Na czele pierwszéj brygady, któréj dowództwo powierzył mu Garibaldi, miał udział we wszystkich bitwach stoczonych przez tegoż z Prusakami. W bitwie pod Dijon w d. 21 Stycznia, napadnięty przez Prusaków, a opuszczony przez swoich, poległ bohaterską śmiercią. Garibaldi uczcił zgon jego, następującym wzniosłym rozkazem dziennym:

„Polska, ojczyzna bohaterów i męczenników, utraciła jednego ze swych najwaleczniejszych synów, generała Bosaka. Dowódzca ten naszéj pierwszéj brygady armii Wogezów chciał sam się przekonać o zbliżaniu się nieprzyjaciela do Val de Suron, i z garstką dwunastu żołnierzy i oficerów wrzucił się z nadzwyczajną walecznością aby zatrzymać wojsko nieprzyjacielskie. Ten nowoczesny Leonidas pełen dobroci, tak przez nas wszystkich kochany, przejdzie do potomności demokratycznego świata, za który najgorliwiéj walczył. Ale szczególnie śmierć ta będzie wielką stratą dla jego szlachetnéj ojczyzny. Niech rzeczpospolita francuzka zajmie się losem wdowy i dzieci tego bohatera!“

Wieść o śmierci jego przeniknęła smutkiem Francyę i Polskę. Wyrazem żalu Francyi jest list ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, p. Gambetty, napisany do pani Bosak, w tych rzewnych słowach:

„Szanowna Pani!

Racz mi przebaczyć, że śmiem brać jednę z chwil poświęconych łzom po dojściu tak bolesnéj wiadomości. Uważam za święty obowiązek wynurzyć całą myśl rządu francuskiego względem pełnego sławy męża.

Generał Bosak-Hauke ofiarował szlachetne rzeczypospolitéj francuskiéj swoje usługi wojskowe i życie, jakby był jednym z jéj synów i tak właśnie go uważamy. Lepsze dni przyjdą, w których będziemy mogli zebrać ducha, oddać sprawiedliwość zasłużoną i spłacić dług wdzięczności narodowéj tym, którzy przelewali krew i poświęcili życie w obronie Francyi, dług zaciągnięty względem tych, którzy w chwili niebezpieczeństwa zebrali się koło naszéj chorągwi, nie zważając ani na własną korzyść, ani na inne względy.

Póki to nie nastąpi, racz pani liczyć na moje najszczersze uczucia dla uczczenia walecznego męża, i nie wahaj się odwołać do mojéj pamięci; będę się uważać bowiem za szczęśliwego, odpowiadając jéj życzeniom.

Proszę przyjąć wyraz serdecznéj życzliwości i głębokiego współczucia. Leon Gambetta.“

Zwłoki jego dopiero na trzeci dzień wyszukane na polu bitwy, przewiezione zostały do Genewy, gdzie w d. 12 Lutego, z wielką uroczystością i okazałością pochowane zostały. Nie sądzimy, by one tam na zawsze spocząć miały; Bosak jest wyrazem najszlachetniejszym naszego społeczeństwa, jego poświęcenia i miłości dla kraju; zwłoki jego spocząć powinny na Wawelu — pewni jesteśmy że kraj pomyśli o tém, a pewność tę czerpiemy z powszechnego smutku po jego utracie, po licznych nabożeństwach, jakie za duszę jego odbywają się po kraju, wreszcie po owych składkach które płyną na jego dzieci. Przez nie Polska wypowiada, że dzieci jednego z najlepszych jéj synów, nie mogą być sierotami — adoptować je musi całe nasze społeczeństwo.

Cześć pamięci bohatera!

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Panna Klara oczekiwała na brata, przysposabiając się w duchu do walczenia, jeśli by było potrzeba, za dobrą sprawę. Margocki przekonał ją, ujął i pozyskał najzupełniéj. Wiedziała wszakże iż z Zosią nie pójdzie łatwo, a z bratem dla tego trudno iż on pociągnie za córką. Zbroiła się więc tymczasowo w argumenta chodząc żywo po pokoju.

Juścić jeśli brat życzy sobie losu dla córki, powinien być z tego szczęśliwym że jéj się taki dom otwiera! Ale ja przeczuwam co się tu święci! Zosia ma głowę nabitą tym doktorem, który nawet jeszcze doktorstwa nie pozyskał! Przecież panna która będzie miała sto tysięcy talarów posagu mogła by coś lepszego znaleźć, niż takiego medyka... Szlachcic i hrabia nawet by się trafił!! bo i piękna i rozsądna i wychowałam ją jak niemożna lepiéj. Tylko wznioślejszych uczuć nadać jéj nie mogłam...

Tu westchnęła panna Klara.

Wrodzona to rzecz i tego się pono nie nabywa — to darmo...

Niech sobie brat mówi co chce, ja od mojego zdania nie ustąpię — a choćby się Zosia upierała to nie pomoże... ja na swojém postawię... Brat ma tyle rozumu iż się da przekonać, zresztą pani hrabinie odmówić tego nie może.

Panna Klara począwszy się tak podbudzać do przewidywanéj wojny, doszła do tego, że się rozgniewała na brata i Zosię, choć jeszcze z niemi nie mówiła. Sama argumentowała, sama odpierała swe dowodzenia, sprzeczała się, roznamiętniała i gdy wszedł Ostójski z córką, zupełnie spokojny, ledwie się opamiętała iż oni jeszcze o niczém nie wiedzieli.

„Niechże ja Zośce pierwsza powinszuję“, zawołała podbiegając do progu.

„Mnie? czego?“ spytało dziewczę śmiejąc się, „cóż się stało?“

„Hrabina przysłała Margockiego prosząc ciebie do pałacu...“

Zosia aż krzyknęła ze strachu i przerażenia i zakrywszy także oczy, poczęła wołać:

„Za nic w świecie! za nic! jestem chora, jestem... co każecie, wszystko zrobię — ale tego nie chcę... nie chcę!“

Ostójski spojrzał na siostrę, na córkę i wąsa pociągnął.

„Już! już! pieszczoszka się rozchodziła“, przerwała ciotka, „czekaj, powoli, spokojnie, pomyśl nim się będziesz zarzekać.“

„Bez namysłu! i już nie chcę...“

Ojciec milczał.

„No, dobrze, nie chcesz — zgoda“, rzekła panna Klara uśmierzając w sobie gniew, „dobrze, hrabina się obraża, przychodzi odnowienie kontraktu, ojcu odbierają dzierżawę i idziemy z jego remanentami w świat.“

„O! mój Boże! z pieniędzmi téż i pracą ojcowską“, odparła Zosia, „to nie straszne...“

Spojrzała na ojca, który wciąż wąsy kręcił.

„Nie prawdaż ojcze?“

„Juściż człowiek sobie zawsze na świecie kąt znajdzie“ rzekł powoli, „chociaż znowu, rumacya — moje dziecko — nie mała rzecz... nie mała.“

„I dla czego? dla tego że pieszczonéj panience nie chce się wystąpić, gdzie? w salonie takiéj pani, która na królewskich dworach jak najlepiéj jest widzianą. Przecież hrabina słynie z jak najlepszego tonu, przecież to pański dom... W dodatku uczennica Liszta... Ty zawsze mówisz, a! żebym to ja mogła nabrać stylu, stylu... a gdy styl sam do ciebie idzie, to żeby się trochę nie zakłopotać, odpychasz go! Samaż powiedz? czy to...“

„Czy to rozumnie?“ podchwyciła Zosia. „Ciocia chciała powiedzieć, czy to rozumnie.“

Zosia była chłodna i nie unosząc się pocałowawszy ciocię w ramię, zaczęła.

„Niechże ciotka mnie posłucha. Nie przeczę że mogę nabrać stylu, lecz i świat ten i ludzie i życie nie dla mnie. Nawyknąć do nich jest to sobie może zatruć życie. Nuż ja się rozkocham w błysku, w elegancyi, w tych obyczajach... to co?“

„A! jak Boga kocham — Zosia ma słuszność“, rzekł Ostójski.

„Zofia u ciebie zawsze a ja nigdy nie mam słuszności, mój bracie“, trochę urażona odezwała się panna Klara. „Cóż to ona ma zaraz się popsuć patrząc na jedwabne suknie hrabiny? Jakiż to tak niebezpieczny świat i towarzystwo! Co to za przypuszczenia!“

W miarę jak się rozogniała panna Klara, do coraz wyższego wznosiła się stylu.

„Ojcze nieopatrzny!“ zawołała, „dziecię od kolebki uczysz samowoli! Tak! Cobyś miał ją nakłonić ażeby korzystała z jedynéj może sposobności wdrożenia się w układ wielkiego świata, ty ją w niziny i poziome sfery sprowadzasz. Zasklepiona jest miłość twoja... człecze niebaczny.“

„E! e! daj no pokój! daj pokój téj retoryce“, przerwał Ostójski, „mnie to nie porusza bo ja tego się nasłuchałem. Gadajmy po ludzku... Na co ja mam Zosię męczyć...“

„A cóż to za męka? włoży sukienkę i pójdzie z tobą albo ze mną, trochę się za pierwszą bytnością porumieni — zakłopocze... trochę się zażenuje, a potém sama ci dzięki składać będzie.“

„Jeśli moja niebytność może ojcze ściągnąć jakąś nieprzyjemność... a no, pójdę!“ rzekła Zosia po namyśle, „ale... ale... zobaczycie państwo że mnie tam bardzo potém zapraszać nie będą, na taką się im prostaczkę wystrychnę.“

Ciocia ręce załamała.

„Ty byś śmiała!“ krzyknęła.

„Słuchaj ciociu droga“, marsa strojąc strasznego odezwała się Zosia, „czy wy myślicie że oni mnie czémkolwiek w świecie imponują? ani tonem, ani pałacem, ani imieniem, ani ekwipażami, ani francuzczyzną, ani temi cesarzami z któremi się kumają! Są to ich zabawki dziecinne... a ja dzieckiem nie jestem i moje lalki dawno rzuciłam w kąt... Oni ze swemi długami, próżnością, komedyami salonowemi, pożyczanym językiem, obyczajem, myślą... wydają mi się — wie ciocia co? — śmieszni...“

Na pannę Klarę uderzył rumieniec, który się zmienił w bladość.

„Moja Zosiu“, szepnęła ścinając usta, „złe książki i może nie właściwe towarzystwo nabiły ci głowę temi ideami demokratycznemi... Człowiek powinien zdążać ku wyższemu, a nie dobrowolnie leźć — w błoto.“

„Ku wyższemu! zgoda! ku bohaterom, świętym, czystym, ludziom ofiary — a! ciociu! idźmy! spinajmy się, naśladujmy... ale salonowa ta wielkość, to szych i świecidełko co tylko przy lampach złudzić może, a blasku słońca nie wytrzyma.“

„Oto masz, oto masz“, obie ręce wyciągając patetycznie ku bratu, zawołała panna Klara, „oto są skutki téj literatury, tych polskich książek któremi ją karmiłeś. Tylko braknie żeby się w chłopie zakochała i za niego za mąż poszła.“

„A, gdyby chłop był i oświecony i zacny i podobał mi się — to co?“ spytała Zosia, „myśli ciocia że jabym się zawahała?“

Ostójski nie śmiał córce się sprzeciwić, ale głęboko westchnął, stare jego szlachetwo odezwało mu się w sercu.

„Co bo to gadać! co bo to siostra na takie rzeczy naprowadza rozmowy... kiedy tu nie o to idzie“, począł bąkać chodząc po izbie z rękami w tył założonemi. „Ja Zosi do

pałacu nie zmuszam; a, co prawda, że towarzystwo może miłe, żeby zaś miało być bardzo młodym zdrowe, nie powiem. Przytém pojmuję że gdzie człowiek nie czuje się równym i za równego uznany nie jest, tam mu źle i ciasno...“

„Duma, dumka w Zosi gra“, przerwała panna Klara, „niechce się hrabinie, która jest urodzoną w książęcym domu, pokłonić... Panuje tu na folwarku... więc...“

Zosia się mocno zarumieniła i posmutniała, a wyraz jéj twarzy pochwyciwszy ojciec zasępił się i z wyrzutem spojrzał na siostrę.

„Moja ciociu, ja nigdzie panować nie chcę... ale też nikomu się poniewierać nie dam... Trzeba tego dla spokoju ojca — pojadę do pałacu — o cóż idzie — a tam, będę się umiała znaleźć jak przystało... więc dosyć...“

To mówiąc Zosia wzięła kapelusz i szal rzucone na krzesło i spokojnie wyszła do swojego pokoju, Ostójski został ze spuszczoną głową, panna Klara, w której jeszcze zburzonych uczuć i myśli zostało podostatkiem nie wyszafowanych — zdziwiona i zakłopotana ujrzała się w obec brata wprawdzie zwycięzką na placu boju — ale mocno zmieszaną co daléj począć miała.

Ostójski wziął ją za rękę.

„Po co Zosię drażnić? na co to takie rzeczy pleść? do czego? No widzisz siostro, widzisz... Zosia się zburzy, odchoruje... a ty będziesz wszystkiemu przyczyną.“

„Odchoruje! zburzy!“ powtórzyła Klara, „aćpan jesteś ślamazarnik, dziecko pieścisz... a o prawdziwym jéj dobru zapominasz... Rozpieściłeś — i, po wszystkiem.“

„Róbcie sobie co zechcecie — ja wiem że ja tu głosu nigdy nie mam, choć więcéj świata widziałam niż wy wszyscy. Umywam ręce... dobrze! dobrze! nie mięszam się do niczego. Jedźcie, nie jedźcie! mnie to wszystko jedno!“

To powiedziawszy zakręciła się i wyszła. Ostójski z założonemi w tył rękami pochodził po pokoju, potém jakby sobie co przypomniał, wybiegł do gumiennego i zajął się rozporządzaniem robocizny na jutro.

Leczyło go to zawsze w podobnych utrapieniach domowych.

Zosia w swoim pokoiku siedziała na kanapce zamyślona ale nie zbyt tém wszystkiem wzruszona. Domyślała się ona lepiéj od innych, że w tém wszystkiem grał pewną rolę Margocki, który żywił jeszcze nieobjawioną widocznie nadzieję pozyskania jéj serca i ręki.

Zosi wydawało się to po prostu śmieszném, bo jego żargon, pański ton, dystynkcya nabyta, wcale się jéj nie podobały i nie przypuszczała żeby ją co zniewolić mogło do zadania gwałtu sercu... Powiedziała sobie że z zimną krwią da mu przy pierwszéj zręczności poznać ażeby głowy próżno nie nabijał rzeczą niemożliwą.

Kochała Juliana od dzieciństwa... Więcéj niż staranie p. Margockiego przestraszał ją chłód młodego człowieka, z którego niczém dobyć nie było podobna najmniejszéj uczucia oznaki.

Myślała więcéj o nim niż o tych strasznych odwiedzinach w pałacu — nie miłych wprawdzie ale obojętnych.

„Co się Julkowi stało?“ mówiła sobie, „tak się zmienił, że ja, com tak jasno w duszy jego widziała wszystko, teraz w nią już zajrzeć nie mogę. Czyste jéj wody coś mi zmąciło... Inny człowiek, zimny, bez czucia — ostygły, obojętny, broniący się nawet wspomnieniom! — Widocznie nie chce mnie, lęka się — stroni — trzeba przecierpieć... przeboleć... przeczekać... przemilczeć. Potrafię wszystko... Być nie może by tak rychło serce i dusza tak poczwarnie się skrzywiły... zmieniły, żeby zapomniał, żeby nie czuł. Będę z daleka badać go i patrzeć... udam i ja, gdy potrzeba — obojętną... Zobaczemy.“



Generał Józef Hauke-Bosak.

Na te dumy, drzwi uchyliwszy, ostrożnie wśliznął się ojciec cicho, zadysponowawszy robotę, aby zobaczyć co się z kochanem dziecięciem dzieje.

„Co ty tak siedzisz po ciemku?“ zapytał.

„Odpoczywam“, szepnęła Zosia, „trochę byłam zmęczona.“

„I Klara cię napadła — ale ty się tém nie gryź... zrobisz co ci się podoba... ja cię zmuszać nie będę. Nie odnowią mi dzierżawy, Bóg z niemi, znajdziemy inną.“

Pocałował ją w czoło, a ona go w rękę.

„Mój tatku“, rzekła, „niema o czém mówić, trzeba bądź co bądź do pałacu pojechać... a tam... ja, nie popełnię żadnéj niedorzeczności... tylko, tylko będę sobą i jak

mnie Bóg stworzył. Niepodobam się, nie poproszą mnie więcéj i — na tém koniec... Ciocia", szepnęła ciszéj, „czasem się tak potrzebuje wyburzyć — ale jéj to przejdzie."

Ostójski uściskał jeszcze raz nic nie mówiąc córkę.

„Ty jesteś złote dziecko... ty moja najdroższa! mój gołąbek biały! ja wiem", rzekł, „że ty sobie rady dasz... i będę spokojny."

„Tak! tak! nie trzeba z małych rzeczy robić wielkich!" uśmiechnęła się smutnie Zosia...

Owa przygotowana burza skończyła się na tém. Na próżno przy wieczerzy probowała ją wywołać znowu panna Klara — Zosia się uśmiechnęła, powiedziała po prostu — o cóż chodzi? pojadę do pałacu... i zamilkli.

(C. d. n.)

Biesiada w Trybunale.*)

Co do miejsca, co do daty
Nie są zgodni kronikarze,
Dosyć, że przed wielu laty,
Gdy na polskich ziem obszarze
Nieprzyjaciel objął rządy,
Do jednego z miast w Koronie
Na graniczne zjechał sądy
Pan justicrat w sędziów gronie.
A więc za nim, jak to bywa,
Wraz do miasta by lawiną
Chmara szlachty zewsząd spływa
Z przyjaciółmi i rodziną.
A choć walczą w trybunale,
Choć niejednych dzieli sprawa,
Wszystkich jednak łączy stale
Stół, kieliszek i zabawa.
Rzędem idą więc gościny,
Od Marcina, do Michała,
To na stypę, to na chrzciny
Tłumnie wali szlachta cała.
Raz u Prota na obiedzie
Ludno, gwarno i wesoło,
Pan gospodarz réj tam wiedzie
I zabawia gości koło.
Więc serdeczność zewsząd złota,
Szlachta śpiewa, tańczy, pije,
W górę wznosi pana Prota,
„Prot niech żyje!... Prot niech żyje!"
Prot w kielichy wlał węgrzyna,
Czapką kłania się dokoła,
Potém na stół sam się wspina
I „Silentium!" głośno woła.
„Héj panowie, my weseli,
Ale obok, w trybunale
Niema wina ni kapeli
I zabawy niema wcale...
A kościelne mówi prawo,
Że się dzielić trzeba z bratem,
A więc dzielmy się zabawą
Ze szanownym justicratem.
Wszakże jego to mozołem
Sprawiedliwość jest panowie,
Więc do sądu idźmy społem,
Trybunału wypić zdrowie!"

„Na trybunał!..." grzmią okrzyki
Wszyscy kupią się z hałasem
Przy odgłosie więc muzyki
I z obfitym win zapasem,
Wznosząc czapki i szklannice,
Pod dowództwem pana Prota,
Idą rzędem przez ulicę
W trybunału ciemne wrota...
Pan justicrat, zgięty w czworo,
Przesłuchując liczne świadki,
Z cierpliwością i pokorą
Trzydziestego wiódł przed kratki.
I spoglądał zamyślony
Na guzików szereg złoty,
Na trzewiczki, pantaljony,
Na zdobiące frak żaboty,
I zapytał się biedaczek,
Na osłodę swojéj biedy,
Czy na kusy jego fraczek
Jaki order spadnie kiedy?...
Nagle zbudził go z uśpienia
Hałaśliwy dźwięk muzyki,
I bijące o sklepienia
Śpiewy głośne i okrzyki.
I nim zebrał myśli swoje,
Do sądowéj cichéj sali
Przez otwarte już podwoje
Poloneza szlachta wali...
I w ponure korytarze,
Poprzedzona przez kapelę,
Snuje para się po parze,
A z kieliszkiem Prot na czele.
I podąża pośród wrzawy,
Rozpychając tłum gawiedzi,
Wywracając stoły, ławy,
Wprost, gdzie grono sędziów siedzi.
I stanąwszy tuż przy kracie,
Podniósł w górę puhar złoty,
„Héj, szanowny justicracie!...
Na bok trudy i kłopoty...
Dzisiaj Bachus berło dzierży,
Dziś przychodzim tu, panowie,
Pić stuletnim, jak należy,
Szanownego sądu zdrowie!...
I wychylił do kropelki
I na ławie sędziów staje,
Nalał w puchar dwie butelki,
Panu radzcy go podaje...

*) Prawdziwe to zdarzenie opisał w swoich „Powieściach wielkopolskich" Fryderyk hr. Skarbek.

Niemiec struchlał, zbladł jak chusta,
Osłupiałą wytknął głowę,
I otworzył wielkie usta
I jak listki drżał osowe.
„Hola!“ krzyknął Prot zuchwale,
„Jeźli pić nie zechcesz Wasze,
Karabelą z nóg cię zwalę,
Nie pozwolę pluć nam w kaszę!“
Radzca wkoło spojrzał z boku
I spocone otarł skronie,
Z bólem w piersi, ze łzą w oku
Puhar w drżące schwycił dłonie,
A spojrzawszy na żaboty,
Zrozpaczone spuścił oczy,
Już tam nigdy order złoty
Blasków swoich nie roztoczy!...
Lecz gdy dotknął się kielicha,
Zgromadzona sędziów rada
Po jednemu z ławek czmycha
I do kosza się zakrada.
Nawet woźny trybunału
Z kapelmistrzem już się ściska,
Pełno wrzawy i zapału,
Wszędzie węgrzyn zdrojem tryska!...
Radzca osłabł, zemdlał prawie,
Byłby puhar skruszył w dłoni,
Lecz na sędziów stojąc ławie,
Karabelą Prot wciąż dzwoni...
A sekretarz, mądra dusza,
Wciąż na ucho szepcze żwawo:
„Wypij radzco,... przemoc zmusza,
Więc zezwala uledz prawo...“
Biedny radzca łyk po łyku,
Choć kolana pod nim drżały,
Wśród hucznego szlachty krzyku,
Musiał wypić kielich cały!...

Ale, jakby czarów siłą,
Dziwny ogień uczuł w łonie,
Serce mocniéj mu zabiło...
Oko błyszczy... głowa płonie.
Wokół szlachty szereg długi...
Na ramiona radzcę biorą,
Prot podaje kielich drugi,
Szumną wielbi go perorą...
Huczą trąby i puzany,
Pan kapelmistrz w kotły bije
I wnet okrzyk wstrząsa ściany:
„Vivat!... radzca niechaj żyje!“
Pan justicrat patrzy, słucha...
Zdał się losów ślepéj woli,
Wypił kielich, nabrał ducha,
Uspokoił się powoli...
A że grzeczność w całym świecie
Znów grzecznością każdy płaci,
Więc justicrat musiał przecie
Wypić zdrowie szlachty braci...
I tak daléj, i tak daléj...
Wiwat idzie za wiwatem,
Każdy mówkę jakąś pali,
Każdy trąca z justicratem...
Trzeba wypić... niema rady...
I dziękować po wiwacie,
Ani wymknąć się z biesiady,
Bo inaczéj: „Bij się bracie!“
A nad rankiem, w szlachty gronie,
W środku sali śpią pokotem,
Jak dwaj bracia, w dłoniach dłonie:
Pan justicrat z panem Protem!...

Poznań, 25 Grudnia 1870 r.

J. M.

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Takie rozmowy dały naturalnie dużo do myślenia pannom Sydońskim. Sentymentalnéj Julci to interesowanie się siostrą wydało objawem głęboko tajonego ale pełnego poezyi i siły uczucia. Sądząc archeologa podług siebie pomawiała go o nieśmiałość, o badanie ostróżne, czy nie zapukał do zajętego już serduszka. Kochała siostrę, życzyła jéj jak najlepiéj i uśmiechała się jéj myśl, że Halinka mogłaby zrobić lepszą partyę wychodząc za Klińskiego, niż łącząc swoje losy z poważnym, milczkowatym Janem. To było przyczyną, że aby nie zrażać mniemanego konkurenta siostry, starała się raczéj wybijać mu z głowy niż utwierdzać w nim przekonanie, że między Janem i Halinką istnieje stosunek mogący się zakończyć przed ołtarzem.

Halinka też w podobnem była położeniu. Kliński mówił z nią o Julii ilekroć znalazła się sposobność, że mogli porozmawiać na osobności. Dla żywego temperamentu starszéj panny Sydońskiéj jednéj takiéj rozmowy było dosyć, aby z niéj zacząć wyprowadzać wnioski, że smętne i tęskne spojrzenia Julii głęboko w sercu archeologa zajrzało. Przy drugiéj tego rodzaju rozmowie ze Stanisławem, Halinkę śmiech porwał pusty.

„Oryginalny konkurent!“ pomyślała, „kocha się w mojéj siostrze, to rzecz widoczna, ale zbliżyć się do niéj nie śmie... radby chyba przezemnie wprzód wybadać jak będzie przyjęty... To mi się podoba doprawdy!... Jestem starsza to prawda, ale jeszcze nie taka, żebym wyglądała na swatkę. Nie, nie, paniczu, nic z tego... jeżeli masz szczere zamiary pana Ignacego odpalić, to staraj się sam za siebie, a jeśli się do tego będziesz brał według jakiéjś archeologicznéj metody, przez trzecią osobę liczby pojedyńczéj czy mnogiéj, to już nie moja wina, że ci się nie uda.“

Tak myśląc Halinka nie miała jednak zamiaru psuć siostrze szczęścia.

„Któż tam wie, co Julcia myśli,“ powiedziała sobie, „ten archeolog, jak powszechnie gadają, jest doskonałą

partyą... jeżeli go woli, niż pana Ignacego, niechże z nim będzie szczęśliwą... ja wolę poprzestać na małem."

I tak samo jak Julcia, ażeby nie przeszkadzać siostrze, w rozmowach z Klińskim dawała mu do zrozumienia, że pomiędzy Julcią i Ignacym jest jeszcze tak dobrze, jakby zupełnie nic nie było.

Nasz tedy archeolog, który sobie zamierzył zbadać co się święci, rozwiązać ciekawą zagadkę, znalazł się nagle w dziwnem położeniu. Z dwóch stron rozmyślnie w błąd go wprowadzono i zaprzeczono temu co mu się zdawało widocznem. Jaki był tego powód? dla czego mistyfikowały go obie siostry? dla czego cały ten podwójny romans chciano przed nim wyraźnie zrobić tajemnicą?... nad tém wszystkiem daremnie suszył sobie głowę, i to go jeszcze bardziéj zaciekawiało do znalezienia klucza téj zagadki.

Obie siostry prowadziły z nim taką politykę na własną rękę, ale każda spodziewała się, że gdy wieczorem bracia marmurkowie odjadą do Strzegowa, gdy pan Stanisław uda się do swojego pokoju, a one obie w archeologicznym buduarku zabierać się będą do spoczynku, druga siostra zwierzy się jéj, że w spojrzeniach lub wyrazach pana Klińskiego znalazła wskazówkę uczucia, o którem kobieta nie wiedzieć nie może ilekroć jest jego przedmiotem. Oczekiwanie to jednak zawiodło naturalnie i Helenkę i Julcię. Gdy się znalazły same, więcéj mówiły o tém, że to niedogodnie zmieniać tualetę dzienną na nocną w buduarku zastawionym różnemi prawiecznemi wykopaliskami, niż o gościu-archeologu w ogóle, a o tém czego Julcia spodziewała się od Halinki, Halinka zaś od Julci, nie było, rozumie się ani słowa.

Inaczéj téż być nie mogło. Obie wzajemnie spodziewały się od siebie zwierzenia, ale badać jedna drugiéj nie chciała. Halinka liczyła na to, że Julcia poważnie, z uczuciem jak to było jéj zwyczajem, przyciśnie ją do serca i powie swoją tajemnicę; Julcia spodziewała się że Halinka ze zwykłą sobie prostotą zwierzy jéj swój sekret,... a że obie sekretu żadnego nie miały, więc obie czekały naprożno.

To milczenie obustronne w nowy błąd je wprowadziło.

Powiedziały sobie dobranoc, zdmuchnęły świecę i obie udawały, że śpią, ale sen był dalekim od ich powiek.

„Halinka milczy, tai się przedemną," myślała Julcia, „w tém coś jest... to nie bez przyczyny... przecież nie mogła niedostrzedz, że archeolog tylko dla niéj żyje, tylko dla niéj tu bawi... tylko o niéj myśleć i mówić umie."

„Nie wiedziałam, że Julcia taka skryta," dumała Halinka, „ale to zawsze tak bywa... cicha woda... wie co się święci, gdyż tego niespostrzedz nie podobna... ale po co się z tém kryje przedemną?... czyżby i o mnie miała być zazdrosną?..."

Dumały nad tém obie, długo, długo w noc. Rzadko się zdarza, żeby długie i wyłączne dumania o jednym i tym samym przedmiocie nie doprowadziło do jakiegoś stanowczego i rozcinającego wszystkie wątpliwości wniosku. Newton tyle odkryć porobił, i sam się przyznał, że tą tylko drogą doszedł do celu, że ciągle myślał o rozmaitych zagadkach natury; Howe wynalazł maszynę do szycia, bo ciągle myślał, jakby ją wynaleść; Gambetta wreszcie znalazł materyał do stworzenia armii, bo ciągle myślał jakby ją tu stworzyć z niczego. Skutkiem tego naturalnego prawa, że myśl jedynie natężeniem i skupieniem swojem tworzy wielkie wnioski, wielkie pomysły, wielkie prawdy i wielkie czyny, dwie nieśpiące i zadumane panienki w łóżeczkach, panienki osłonięte tylko kotarą cienia przed świadkami dziesięcio a może dwudziesto wiekowéj przeszłości, musiały przyjść do wielkich a niespodziewanych wniosków.

„Tak, tak... zrozumiałam wszystko," powiedziała sobie Halinka, „Julcia wie, że archeolog więcéj nią jest zajęty jak wykopaliskami, a nie mówi mi o tém, dla tego tylko, że uczucia pana Klińskiego są jéj miłe, a przyznać się do tego wstydzi."

Tu Halinka westchnęła i rzekła półgłosem:

„Biedny pan Ignacy!..."

W tym samym czasie Julcia, wyrozumowała sobie podobnież, że Halinka wie iż Kliński jéj a nie archeologii zamierzył ślubować przywiązanie dozgonne, ale także z tem się nie zwierza, bo ją wstyd trochę, że ma ochotę pana Jana na archeologa wymienić.

Tak myśląc Julcia także westchnęła sobie i szepnęła:

„Biedny pan Jan!..."

Los chciał, że te westchnienia zbiegły się razem i że się te szepty zmięszały z sobą, tak że się obie siostry usłyszały wzajemnie, lecz swych wyrazów zrozumieć nie mogły.

Było to nowem potwierdzeniem domysłów.

„Walczy z sobą i spać nie może," myślała Halinka, „namyśla się kto lepszy Ignacy czy Stanisław... ha! nie będę jéj przeszkadzała."

„Sumienie ją dręczy," myślała Julcia, „żal jéj trochę pana Jana... ale to przejdzie... nie trzeba się wydawać, żem ją podsłuchała niechcący."

I w buduarku dwóch sióstr, stało się tak cicho, jak gdyby spały rzeczywiście.

XII.

Nazajutrz obie panienki z samego rana szukały każda z osobna sposobności pomówienia na uboczu z matką. Nie było to tak łatwem, gdyż pani Sydońska jak każda dobra gospodyni, czasu nie miała zanadto, a zwłaszcza też w dniach pobytu i przyjmowania gości, więcéj spraw ważnych miała na głowie niż niejeden minister Saksonii, Badenii lub jakiegobądź innego z tych państw, których kłopoty i troski Prusy przyjęły na siebie. Zawsze jednak sposobność się znalazła. Pierwsza Halinka póty deptała matce po piętach, aż posłuchanie wydeptała sobie nareszcie.

„Mam mamuni powiedzieć sekret," rzekła, „ale to wielki sekret, największa tajemnica, droga mamo."

„No, no, słucham cię moje dziecko, cóż takiego?..."

„Ten pan archeolog... zakochał się..."

„Doprawdy?..."

„Jak mameczkę kocham... przysięgłabym... zakochał się..."

„Tak sądzisz?... może... więc w tobie?... nieprawdaż Halciu?..."

„O! nie, mameczko... w Julci..."

„A!...

„Mama nie wierzy... ale ja ręczę mamie...ciągle o niéj rozmawia.“

Pani Sydońska zadumała się nad tém, nic jednak nie odpowiedziała Halince.

W kwadrans potém Julcia wyprosiła sobie audyencyę.

„Czy Halinka nic mamie nie mówiła?“ spytała.

„Owszem... coś mi napomknęła... ale nie zrozumiałam dobrze... zdawało mi się to niepodobnem...“

„Ale ja mamie mówię, że tak jest niezawodnie...“

„Że pan Kliński zakochany?...“

„Tak, mameczko...“

„W kimże?... w tobie?...“

„Ale zkądby, mamuniu?... w Halince!...“

„Żartujesz!...“

„Nie, mamuniu... ja dobrze uważałam... ile razy z nim mówię, zawsze o nią tylko się pyta i o niéj najchętniéj słucha.“

Odwrotna edycya téj saméj wiadomości jeszcze bardziéj zastanowiła matkę. Z dodania obu relacyi wypadało w sumie zero. Pani Sydońska skombinowała opowiadania Halinki z opowiadaniem Julci i doszła do tego wniosku, że archeolog nie kocha się w żadnéj, i nie chcąc nawet dać pozoru, z każdą mówi tylko o nieobecnéj. Gdyby rzeczywiście miał zamiar starać się o którą, nie byłyby się obie tak pomyliły.

Rozsądny ten wniosek rozsądnemi postanowieniami natchnął dziedziczkę Małéj Woli.

„Nie ma się co łudzić,“ powiedziała sobie, z téj mąki nie będzie chleba... Skromniejsze widać partye los przeznaczył moim dziewczętom, a z pobytu pana archeologa jedną tylko korzyść można wyciągnąć. Niech będzie postrachem dla Marmurków.

W takiéj myśli pani Sydońska poszła do córek i każdéj na osobności dała maleńką przestrogę, a mianowicie, żeby o swoim sekrecie nie mówiła przed siostrą, lecz żeby go zwierzyła przed swym konkurentem.

Po obiedzie na poszukiwania w kopcach zjechali jak codziennie bracia Marmurki, nie spodziewając się bynajmniéj jak miłe ich oczekują nowiny.

Dzień był śliczny, całe towarzystwo małowolskich z majorem i proboszczem, którzy znowu zjechali na preferansa, przypatrywało się robotom, a że praca kopiących ludzi była dosyć monotonną, i że się przez dni kilka już trochę znudzić mogło przypatrywanie ciągle temu samemu widowisku, więc archeologia zamieniła się na rodzaj przechadzki w różne strony od kopców, przechadzki ożywionéj wesołą rozmową.

Od czasu do czasu jaki okrzyk pozostałych przy robotnikach zwoływał do centralnego punktu towarzystwo, które się rozpierzchało w kierunku rozmaitych promieni.

W takich przechadzkach zmieniały się grupy i pary, nikt się stale nie pilnował drugiego. Zdarzyło się, że Ignacy zapatrzony w jakiś wyglądający z ziemi odłam bronzowy odłączył się od towarzystwa, Stanisław wziąwszy Julcię pod rękę odszedł od kopca, major z panem Aurelim krytykowali jakieś wczorajsze niewłaściwe zagranie proboszcza, który znowu z panią Sydońską robił spostrzeżenia meteorologiczne, i wróżył suszę ze zbyt stałéj pogody, jaka panowała od tygodnia. Halinka z Janem wzięli się podobnież pod rękę i poszli tą samą ścieżką którą się oddaliła Julcia z archeologiem.

Halinka pamiętała o zleceniu matki i umyślnie skierowała rozmowę na idącą przed niemi parę.

„Jak pan myślisz, panie Janie“, zagadnęła go, „czy ten pan archeolog tylko dla wykopalisk tutaj bawi?“

Jan spojrzał i zobaczył że Ignacy bardziéj się zajmuje wykopaliskami jak Kliński.

„A! głupi...“ pomyślał, „sam mu pannę w ręce oddaje.“

Co odpowiedzieć na zapytanie Halinki, nie wiedział, i zamilkł. Dziewczę uśmiechnęło się i dodało:

„Ja bo myślę, że chyba nie...“

„Jakto pani rozumiesz, panno Halino.“

„Patrz pan... przed nas... tam...“

„A!... czy to pani mówi na seryo?...“

„Mam wszelkie powody myśleć, że Julcia...“

„Panna Julia go kocha?“

„Tego nie wiem... ale on...“

Jan nie słyszał co Halinka mówiła daléj, bo też podobno Halinka nic o tém nie powiedziała więcéj. Skombinował wszystko co widział dotąd, własne domysły, przypuszczenia, obawy, z aż nadto przezroczystem zwierzeniem Halinki. Domysły, przypuszczenia, obawy, stawały przed nim w charakterze pewników, wątpliwości już być nie mogło, Julcia była dla Ignacego straconą, a i on sam, Jan, w skutek znanego nam układu miał jednocześnie utracić Halinę.

(C. d. n.)

GAWĘDY Z MIASTA.

IV.

Drogi Władziu!

Jeśli rychléj niż zwykle piszę dziś do Ciebie, to głównie dla tego, by Ci z goryczą powiedzieć: O przyjacielu, jakże Ty na wsi „skartofla łeś!...“ Pardonne moi l'expression — elle vient d'une bouche charmante.

Ja Ci donoszę, że „Frufru“ dają w teatrze na benefis bogini Muz wielkopolskich a władczyni pinczera „Mistrusia;“ że „serc wydzierca“ melodyjnemi akordy zamierza nas upoić w sali bazarowéj; że do Cheveta nadszedł świeży transport bażantów z Winnogóry i Heydsiecka z na wpół annektowanéj Szampanii; że przy ulicy Berlińskiéj odbędzie się inauguracya „złotego salonu,“ — a Ty odpowiadasz, że przybyć nie możesz, bo Ci zmarzła zwierzyna i pérki a zboże nie sypie.

Brzydki prozaiku! Zapomniałeś więc całkiem wspomnień młodości i nie rozważyłeś tego, że gdybyś był przybył do stołecznego miasteczka, śnieżna zawieja — wskutek któréj w przedostatni czwartek połowa niemal gości, zaproszonych na wyborne jarząbki do wysokich komnat gmachu naprzeciw poczty, uwięzła w drodze — byłaby pozwoliła Ci pozostać u nas dłużéj nad urlop z wszelkiém wytłómaczeniem przed Panią Małżonką... Niebaczny, ilużto znakomitych „oficerów“ dzię-

kowało Bogu za ten śnieg opatrznościowy, który ich zatrzymał w złotodajnych objęciach Resursy!.. Jeden tylko rycerz z pod Kiszkowa czy Kłecka uszedł podobno szczęśliwie z bakaratowym plonem, kazawszy p. Starkowskiemu sześć koni zaprządz do sanek... Ale zamilczmy o téj „aferce."

* * *

Przypomnisz sobie zapewne drogi Władziu, przed kilkunastu laty benefis nieporównanéj Désirée-Artot w włoskiéj operze w Berlinie. Prześliczna sala teatru Wiktoryi od góry do dołu zapełniona była najwykwintniejszą publicznością: w proscenium pierwszego piętra dwór i dyplomacya, w parkietowych lożach rejent a dzisiejszy cesarz, otoczony książętami i monarchami Niemiec, przybyłymi incognito umyślnie na „Il barbiere di Siviglia." Kurtyna się podnosi — trzykrotny grzmot oklasków wita ulubioną artystkę; zaledwie ostatni ton „finale" dogorywa, poczyna spadać na scenę deszcz najpiękniejszych, najwonniejszych bukietów... Zdawało się, że podniebie sali się roztwarło, siejąc fijałki, kamelie i róże...

Wspomnienie to odżyło we mnie na środowém przedstawieniu „Frufru." Teatr od galeryi do parteru i orkiestry zapchany ciekawymi widzami; w lożach parterowych mecenasi sztuki z lordem-kanclerzem, w wspaniałym kołpaku bobrowym, na czele; w proscenium „najpiękniejsze z pięknych," które na każdym dworze jaśniałyby jak kosztowne brylanty... Przybycie kruczowłoséj beneficyantki zwiastuje gorączkowy aplauz; w jéj maleńkich rączkach jaśnieje przecudny wieniec z białych kamelii, oko pała nadzieją tryumfu... Z każdą sceną wzrasta zapał, z każdą chwilą artystka więcéj się rozpłomienia szlachetnym ogniem sztuki; kurtyna zapada, by się podnieść znowu i jakby na dane hasło zamieniają się loże i krzesła w baterye, z których kwieciste strzały padają do nóżek pani Nowakowskiéj... Wieniec laurowy o czerwono-białych wstęgach, ofiarowany z orkiestry przez jednego z reprezentantów naszego „Przemysłu," koronuje świetną owacyą... Żałuj o Władziu, żeś nie brał w niéj udziału. Byłbyś się przekonał, że i u nas umieją szanować talent i sumienną pracę...

* * *

Nazajutrz, gdym jak zwykle zasiadł do skromnego obiadku „w Paryżu," pyta mnie nagle mój sąsiad, wysmukły młodzian o jasnowłoséj brodzie, z aureolą geniuszu na czole:

— Czy będziesz Pan w poniedziałek na wieczorze u państwa Zbiświczów?

Spojrzałem nań badawczo i zdawało mi się, jakby lekki uśmiech ironii igrał po za cieniem jego zakręconego wąsa...

— Wszakże Pan wszędzie oddałeś wizyty a jeśli komu, to mężowi z Pańską „pozycyą" przynależałyby się właściwie zaprosiny... — dodał z przekąsem szczupły młodzieniec z białym szalem jedwabnym na szyi, siedzący po méj lewicy.

Przygryzłem wargi i odrzekłem z cicha:

— Przyznam się Panom, że nie roszczę żadnych pretensyi, tém bardziéj, że bardzo rzadko bywam w hotelu przy ulicy Berlińskiéj...

Szczerze mówiąc, ugodzono mnie dotkliwie w miłość własną. Straciłem humor i apetyt a udławiwszy się nieledwie twardą nieco huzarską pieczenią, wnet pożegnałem złośliwe towarzystwo „paryskie", by powrócić do domu.

Byłem zły i niezadowolniony z świata i ludzi. Zapaliłem więc papierosa od „pana Serafina" i począłem się błąkać w przykrych myśli kole... Gdybym miał ekwipaż — mówiłem sam do siebie — lub był „Kurzychgłów" szczęśliwym posiadaczem, zapewne nie byliby zapomnieli o mnie i nie byłbym wystawiony na przytyki „wielkich mężów." Ale któż tam pomyśli o biednym kronikarzu Sobótki. Najlepiéj, zniknę z horyzontu i wyjadę na kilka dni do Berlina...

W tém zapukano do drzwi i stanął na progu wysoki lokaj w niebiesko-złotéj liberyi, z twarzą nadzwyczaj inteligentną, którego bodajnie spotkałem dniem poprzednio przy tylném wejściu do teatru, uginającego się pod ciężarem ogromnego bukietu. Milcząc podał mi maleńki liścik i zniknął.

Krew uderzyła mi do głowy... drżącą ręką rozdarłem kopertę... Na herbowym arkusiku wyczytałem nakreślone słowa następujące:

„Monsieur et Madame Zbiświcz prient Monsieur „Toujours le même" de leurs faire l' honneur de passer la soirée chez eux, lundi le 13 Février, à 8 heures. On dansera."

Przetarłszy ręką oczy, by się przekonać, że to nie złudzenie optyczne, klasnąłem w dłonie i machinalnym zwrotem porwałem za kapelusz, by u Kurnatowskiego i Spółki poszukać hr. Edwarda, zasilającego się tamże zwykle między godziną 2 a 3 przed codziennym turniejem w Resursie.

Przy stoliczkach naprzeciw bufetu, o któren oparty stał Chevet, oglądając właśnie z wielką troskliwością złotówkę, by rozróżnić, czy na niéj liczba „parzysta" lub „nieparzysta", pełno siedziało gości, ale śród nich nie było Edusia.

— Jak się miewasz literacie; może pozwolisz kawałek bażanta, wszakże pod warunkiem, że jeśli Ci damy $1/_6$ udka, zapłacisz całego do połowy...

— Daj pokój żartom, drogi Munieczku. Przybywam w ważnym interesie; szukam vis à vis do kontredansa u Zbiświczów.

— „To Cię przepraszam", ale już jestem zamówiony do wszystkich przez hrabiego Buleandra.

— Może Ty, Franusiu, będziesz łaskaw...

— Zapóźno, zapóźno kochanku. Manio jest moim partenerem w każdego rodzaju partyi... Przecież podobno Karol, pogromca odyńców z nad Noteci, przyjeżdża i nie odmówi Ci zapewne, jeśli przypadkiem już „drutem" nie został przez kogo angażowanym...

Jestem zgubiony... wszystko zapóźno! westchnąłem w duchu i wychyliwszy kieliszek „triple sec", w dalszą udałem się wędrówkę à la recherche — nie d'une position sociale, ale kontredansowego towarzysza.

Na rogu przed teatrem obok cukierni francuzożerczego Wolkowitza spotykam zacnego Redaktora Sobótki.

— Panie Wiktorze, na miłość boską, czy możesz mi służyć do kontredansa u Zbiświczów?...

— Ależ Panie, na bal tak świetny starać się należy o vis à vis kilka tygodni naprzód. Dwa pierwsze już mam zajęte — do reszty i owszem.

— Błogosławiony bądź!... Teraz pójdę szukać tancerki...

— Jakto, dotąd Pan nie masz nikogo?... Obym fałszywym był wieszczem, lecz wątpię, by Ci się udało... Do zobaczenia, spieszę z wizytami.

Przez chwilę stałem, jakby odurzony. W tem otwarło się okno na pierwszém piętrze, oparta na ramieniu mężczyzny herkulowéj postaci ukazała się wesoła twarzyczka niewieścia i śpiewnym zadźwięczała głosem:

— Panie Toujourrrs le même, prrrosimy na gorrrącą kawkę ze skibeczkami...

— Pani!..

— Pójdź i nie rób ceremonii, bo chłodno — przerwał Herkul — dam Ci wyborne cygarko, które mi p. Zbiświcz odstąpił...

Dziś wszędzie i zawsze ten Zbiświcz! mruknąłem mimowoli. Niezadługo pół Księstwa gotów z rąk niemieckich wykupić i postawią mu pomnik...

— Z drogi! wrzasnął nagle z tyłu wąsaty stangret i zaledwiem zdążył się umknąć, przesunęła się lotem strzały niebieska ze złotem karetka a w niéj błysnęły dwie pary przecudnych oczu...

Poznałem — były to panny Zbiświczanki...

Szybko wbiegłem na górę.

— Łaskawa Pani, — rzekłem wchodząc do salonu — zanim skorzystam z Jéj uprzejmych zaprosin, pozwól, że Ją błagać będę na kolanach choć o jednego kontredansa...

Pani domu wybuchła śmiechem i pochwyciła z biurka misterny z słoniowéj kości pugilaresik:

— Rrraz, dwa, trrrzy, czterrry zamówione; udzielam więc Panu wspaniale piątego, jeżeli... będzie tańczony.

— Możnaby „oszaleć" lub „powiesić się" z rozpaczy, wszakże lepszy rydz jak nic... To mówiąc, rzuciłem się na zielony fotel i podano kawę.

* * *

Jest to powszechnie używanym przez wielkich autorów zwyczajem, że dla zaostrzenia zaciekawionéj uwagi czytelnika w najbardziéj zajmującéj chwili przerywają wątek opowiadania i w całkiem inne

przenoszą go strony, lub wprowadzają na scenę postacie i miejsca odmienne, które tworząc kontrast, tém wydatniéj od siebie odbijają. Tak Mickiewicz z dumnego Horeszków zamczyska wiedzie nas do skromnego Dobrzyńskich Maćków zaścianku... Wiktor Hugo i nieboszczyk Dumas zasłynęli tym zręcznym fortelem, który pozwala pisarzowi trzymać wciąż na uwięzi myśl czytelnika i przykuwać go niejako do swéj opowieści... Więc daruj drogi Władziu, że i ja, idąc w wielkich mistrzów ślady, porzucę na chwilę rozpoczęty obraz przedwstępnych przygotowań do balu w „złotym salonie," by Cię zaprowadzić na „wspólną kolacyą" do lokalu naszego Towarzystwa przemysłowego przy ulicy Wrocławskiéj.

W pierwszym pokoju przy bufecie zastałem już sporą gromadkę kupców polskich i rękodzielników, żwawo rozprawiających — zgadnij Władziu, o czém? Jakby można zaradzić niedoli wdowy i sierót po dzielnym Bosaku, o któréj wyczytali w Dzienniku... Aż mi serce podskoczyło z radości na ten dowód szlachetnego współczucia dla nieszczęścia u tych ludzi pracy, z których niejeden ciężko na utrzymanie własnéj rodziny zarabia... W pierwszym zapale chciałem każdego ściskać z kolei, gdy z drugiéj komnaty ozwał się poważny głos:

— A, witamy rzadkiego gościa!

Był to zasłużony prezes Towarzystwa, podający mi przyjaźnie prawicę. Znasz tę zacną postać w czamarze, krzątającą się bezustannie około podniesienia przemysłu w naszém mieście — istny typ dawnego mieszczanina polskiego z szlachecką karabelą u boku.

Obejrzałem się po obszernéj sali, wzdłuż któréj zastawione stoły w podkowę, czekały już na przyjęcie gości. W głębi dwa piękne posągi z lejarni pana Antoniego Krzyżanowskiego, przedstawiające żniwo i rybołóstwo, strzegły rzeźb, noszących na sobie godła handlu i przemysłu. Popiersia Karola Marcinkowskiego i Lelewela zdobiły ścianę, nad niemi rozpostarł Zbawiciel na krzyżu błogosławiące ramiona... Uderzyła mnie tylko nieobecność wizerunku śp. Cegielskiego, któremu przecież przemysł poznański tyle zawdzięcza...

Na dany znak przez prezesa zasiedli wszyscy do biesiady. Wybrałem sobie miejsce w cichym kąciku, zkąd mógłem objąć wzrokiem całe towarzystwo. Podano wyborne flaki, szczęknęły talerze, każdy „milcząc żwawo," zajadał dar Boży. Przecież wnet rozwiązały się języki a gwar ożywionych rozmów wzmagał się z każdą chwilą... W honorowym narożniku obok prezesa raczyli się matadorowie zebrania winem czerwoném i pogadanką o zbliżających się wyborach. Arcykapłan opinii publicznéj, znakomity ekonomista, młodzieńczy reprezentant jednéj z firm bankowych i filar Wystawy Kościańskiéj tworzyli tu harmonijne gronko. W innym narożniku wodził réj weteran z 31 roku, malując epizody z ówczesnéj kampanii... W pośrodku stołu zajmował miejsce, naprzeciw znanego z humoru i szczęśliwych spekulacyi naturalisty, mąż nie wysokiego wzrostu ale okrągłéj i dosadniéj postaci. Gruba plika kwitów Towarzystwa Pożyczkowego wyglądała mu z kieszeni rozpiętego surduta... Rumianny mężczyzna z silnym czarnym wąsem i hiszpanką, roztrząsał przy kielichu węgrzyna, gestykulując uznojoną od pracy dłonią, sprawę szkółek niedzielnych i wykładał sąsiadowi z Wildy, ich pożyteczność i potrzebę, mianowicie dla rzemieślniczéj klasy.

Podano trzecią potrawę... W tém jeden z biesiadników uderzył nożem w kieliszek i powstał... Ucichły głosy, a z wymownych ust byłego profesora polały się potokiem słowa, oddające należny hołd jednemu z najgorliwszych członków Towarzystwa, którego szczerą a pełną prostoty przemowę nad otwartą mogiłą śp. Cegielskiego dotąd głęboko mam wyrytą w pamięci...

Rzecz to powszechnie wiadoma, że najtrudniéj pierwsze przełamać lody i że u nas zwykle przy pieczeni tylu niemal jest mówców, ilu gości przy stole. Posypały się zatém jak grad rozmaite poważne i humorystyczne toasty, z których jeden przedewszystkiem mnie uderzył zręcznością zwrotu — od Hiszpanii do „nadziei!..." Inny mówca, począwszy rzecz dowcipną bajką o piesku i kotku, zakończył wspólném zdrowiem dwóch mężów, obecnie dzierżącego berło i detronizowanego. Mimowolnie łza rozczulenia wytrysła z mych oczu na to tak harmonijne zestawienie dwóch nazwisk... Gdy Polak zwykle wtedy tylko wesół i do czynu zdolny, jeśli słusznym wymogom żołądka i gardła jego stało się zadość, nie dziw, że wdzięczność dla gospodarza Towarzystwa, p. Rakowskiego, znalazła wyraz w toaście na jego cześć wzniesionym. Toast ten przecież wywołał niespodziewaną opozycyą. Twierdzono, że p. Rakowski jako członek „Przemysłu" winien czynami swemi udowadniać, że się przejmuje zasadami ekonomicznemi panów doktorów Łebińskiego i Aua; tymczasem ilość i jakość podanych na obiedzie potraw bynajmniéj nie była w stósunku do żądanéj za nie zapłaty. P. Rakowski zapomniał, że każda praca wymaga odpowiedniego wynagrodzenia i położył za wieczerzę cenę zbyt niską. Ztąd wnioskowano, że ze stanowiska przemysłowo-ekonomicznego nie zasługuje na pochwałę i uznanie... Wrzawa powstała niemała i poczęto się dzielić na dwa obozy.

„Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli;
Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,
A najstraszniéj Pan Rakowski był zacietrzewiony;
Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoją tokował,
I gestami ją bardzo dobitnie malował."

Koniec końcem wszakże tak przeciwnicy jak stronnicy hojnego gospodarza Towarzystwa wypili jego zdrowie, poczém po uroczystém „Kochajmy się" około godziny 11 szanowny prezes solwował biesiadne posiedzenie.

Wyszedłem, unosząc z sobą jak najprzyjemniejsze wspomnienie z mile i po staropolsku przepędzonego wieczoru w gronie naszych przemysłowców, których pracy i zabiegom szczere przesyłam: Szczęść Boże! .. A Tobie, drogi Władziu, przypominam przy téj sposobności owę rozgłośną uchwałę niemieckiego Towarzystwa rólniczego w Gnieźnie, o któréj pisano w Dzienniku... Naśladujmy naszych przeciwników w tego rodzaju solidarności, a przemysł nasz i handel niebawem jeszcze piękniéj i bogaciéj niż dotąd rozkwitną!...

* * *

Nie byłbyś poznał drogi Władziu, miasta naszego tego pamiętnego w dziejach tegorocznego karnawału poniedziałku, w którym hotel Zbiświczów w gościnne swe progi przyjmował kwiat wielkopolskiego towarzystwa, oraz płci obojga reprezentantów Ukrainy, Galicyi, Kongresówki i Litwy. Poznań przybrał od samego rana jakąś postać rozgorączkowaną... U fary na mszy widziałem leżących krzyżem właścicieli najznaczniejszych składów koronek, jedwabi i bławatów, dziękujących gorąco niebu za zesłanie konwencyi wersalskiéj w sam czas, by usunąć tańcom przeszkody przynajmniéj na ostatnie dwa tygodnie przed popielcem... Przed handlami pań Pomorskiéj i Szumińskiéj i pana Jerzykiewicza zajeżdżały wciąż karety, p. Bartsch zmuszony był słowem honoru na piśmie zobowiązywać się do punktualnego dostawienia różowych, niebieskich i białych atłasowych trzewiczków; u pana Desfossé successeur zabrakło w końcu krawat i rękawiczek balowych a wieczorem natłok trefiących kędziory tak był wielki, że jeden z starszych gości, potrącony niebacznie przez jakiegoś burzliwego szaleńca, nieoledwie nie postradał wąsa pod rozpalonemi szczypczykami. U Cheveta skromność panowała niezwykła, każdy bowiem oszczędzał się na wieczór; w Resursie popołudniowa partya uroczyście została odroczoną na dzień następny. W hotelu du Nord do późnego wieczoru na gwałt wykończano suknie.

Nareszcie nadeszła godzina 8. Z roskosznem wzruszeniem wdziawszy na nogi petersburgskie kalosze, udałem się zwolna na ulicę Berlińską. Po drodze spotykałem już ekwipaże o zapalonych latarniach i widziałem, jak lokaj, kucharz i dwie panny służące dźwigali razem olbrzymi ogon ciężkiéj materyalnéj sukni swéj pani, by go włożyć do małéj karetki o żółtych kołach. Łuna światła biła z okien hotelu Zbiświczów, dwóch portyerów w liberyi otwierało sienie, pół tuzina kamerdynerów odbierało w przedsionku, ogrzanym kominkowym ogniem, futra i płaszcze, niebiesko-złoty lokaj przed każdym gościem odrzucał na rozcież podwoje... Znalazłem się w „złotym salonie", u którego progu powitali mnie uprzejmi gospodarstwo. Osłupiałem i nie wiedziałem w pierwszéj chwili, gdzie naprzód wzrok mój ciekawy skierować. Odurzyły mnie te starożytne złocone wezgłowia o królewskich herbach z orłem i pogonią, te przecudne urny i wazony, napełnione świeżemi kwiatami, słowem przepych z najprzedziwniejszym połączony smakiem. Obok, w sali balowéj, oświeconéj à giorno, już przechadzały się tancerki, z których dwie, owiane falami różowo-błękitnych obłoczków, królowały nad wszystkie... Z każdą chwilą wzrastała liczba

gości i zapełniały się salony damami w świetnych toaletach, dygnitarzami naszego obywatelstwa, oraz młodzieżą, śród któréj błyszczały, jako znamię wojny, niewidziane jeszcze dotąd w towarzystwach polkich mundury pruskie .. Muzyka zagrała polkę i rozpoczęły się ochocze tańce, śród których służba najrozmaitsze bezustannie roznosiła chłodniki.

O szlachetny cieniu „Wojtusia", który mi się objawiłeś we śnie czy na jawie w bogatych komnatach Zbiświczów, czemuż nie natchnąłeś mnie twą nieporównaną poezyą, czemuż nie udzieliłeś mi cząstki twego talentu, bym mógł wylać na papier wrażenia, jakie z poniedziałkowego wyniosłem balu!... Niestety, na próżno bym się silił nieudolném piórem kreślić ten cudny obraz wiosennych tancerek, kołujących po sali wirem szalonym w ramionach mężczyzn, lub odpoczywających z omdlewającemi od zmęczenia oczyma w zielonym buduarzyku... Napróżno chciałbym Ci Władziu, ułożyć w jednę całość tę mozaikę uchwyconych w przelocie westchnień, spojrzeń i urywanych słówek .. Bo ileż to dramatu w téj życia komedyi, ileż za niejednym uśmiechem kryje się goryczy, w iluż to zimnych na pozór piersiach wre burza płomieni!...

Po piątym czy szóstym kontredansie, w którym donośny głos dowodzącego figurami zagłuszał nieraz dźwięki kapeli, gdy starszyzna poczęła zwolna powracać z bufetu, tancerze podali ręce tancerkom i długim „wężem" popłynęli pokrzepić wspaniałą wieczerzą znużone członki. Potworzyły się gromadki i młodzież zasiadła w gronie dam do małych stoliczków... Nie będę Ci opisywał cudów gastronomicznéj sztuki Mistrza Rakowskiego, którego sława dostatecznie w Księstwie jest znaną: wszakże wiadomo powszechnie, że wraz z rozgłośnego imienia Sliwińskim on dzierzy dziś berło w dziedzinie wykwintnéj kuchni. Wszystko też co dostatek i znajomość rzeczy mogły wymyślić dla rozweselenia najdostojniejszego żołądka, było tutaj à profusion: truflowane pulardy, nadziewane bażanty, ryby bajecznéj wielkości i olbrzymie rozbify mile uderzały oko znawcy obok najdelikatniejszych pasztetów, galaret, blamanżów, cukrów, tortów i lodów, rywalizujących świeżością kolorów i udatnością formy z przedziwnemi owocami rajskiego ogrodu... Ale moja uwaga o Władziu, była tą razą gdzieindziéj. Ukryty w kąciku w przedsionku obok kominka, niepostrzeżony śledziłem malownicze biesiadników grupy. Tam w głębi przy bufecie, na ktorym wonią kosz kwiatów obok niezliczonych zielonych i białych główek szampana, spoczęły trzy różowe mężatki, którym trzech rycerzy staréj gwardyi usługiwało z dworską galanteryą; na śnieżnem czole jednéj z nich kołysała się łódka zwycięzkiéj rozkoszy. Na uboczu młoda para narzeczonych zdawała się być więcéj zajętą wzajemną admiracyą, aniżeli wieczerzą; tu naokół żółtéj sukni, obrzuconéj czarną koronką, rozlegał się śmiech i tryskały słówka dowcipne; tam znowu od białych muślinów, zdobnych ciemnym aksamitem, harmonijnie odbijał huzarski czarno-biały dolman; tu przedstawiciele zwycięzkiéj armii, brzęcząc ostrogami, podawali z wdziękiem potrawy i napoje bukietowi dziewic. W narożniku przedsionka w „szczuplejszym komitecie" dwie królewskie róże i niezabudka, niby z ukraińskich uszczknięta stepów, przeplecione dwoma młodzianami i jedną zwiędłą pokrzywą, tęczowemi kolory olśniewały swych towarzyszy.

— Pani, jesteś sfinxem czy skałą — ozwała się pokrzywa — czy też zamrożona czekolada do reszty wyziębiła Twe serce?

— Ach, jak mnie Pan nudzisz! — odparła zagadnięta róża z figlarnym uśmiechem...

W tém niebiesko-złoty lokaj, obnoszący właśnie majonez, potknąwszy się nieco, pół ryby oblanéj żółtym sosem upuścił na wulkaniczną pierś pokrzywy... Całe grono parsknęło na ten widok homerycznym śmiechem — a ja pomyślałem: „Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas..."

Była godzina 7 rano, gdy wracałem z balu do domu, nucąc z westchnieniem pierwsze akordy melodyjnego Arditiego walca... Takiego wieczoru, jak u Zbiświczów, rzekłem sobie, stłumiając gwałtowne serca bicie, nie zobaczę już nigdy — więc z jego wspomnieniem zamknę się od dzisiaj w domowém zaciszu...

„Voir Naples et mourir!"

* * *

Niezłomne to postanowienie pozbawiło mnie możności szczegółowszego zdania Ci sprawy, drogi Władziu, z innych zabaw karnawałowych. Tylko kilku słowy nadmienię Ci zatem, com słyszał z opowiadania innych. I tak po wspaniałym wieczorze u pp. Zbiświczów, tańczono najprzód we wtorek w gronie prywatném, poczém młodzież urządziła w czwartek świetny bal pod „Gwiazdą" na którym dwie pąsowe suknie całą niemal płeć męską na dwa wrogie sobie podzieliły obozy. Jeden przyjął nazwę „Aten," drugi „Sparty" — oba walczyły pod tém hasłem o hegemonią. W piątek na odczycie pana Leona Wegnera zebrał się cały niemal świat piękny. Sala była przepełniona. W sobotę, po przedstawieniu w teatrze sztuki Calderona, w kilku domach w mniejszych bawiono się kółkach... W jedném „la charmante déesse du chant" oczarowała swych gości. W niedzielę odbył się pierwszy bal w sali bazarowéj, która dzięki dobremu smakowi gospodarzy zamieniła się w rozkoszny ogród. Kolor „zielony" w ogóle górował tego wieczora nad wszystkie inne. W poniedziałek, wyobraź sobie Władziu, zgromadzili znów pp. Zbiświcze całe towarzystwo karnawałowe w swych salonach. Przyjęcie było, jak mi mówiono, nad wszelki wyraz hojne i serdeczne. Rozbijano się o „róże", młodzieńczy „Wołyń" wodził réj w tańcach, „Ateny" błyszczały zwycięztwem. Wreszcie we wtorek zebrano się pod przewodem „Pogoni" w bazarze — i tu karnawał tegoroczny, pędzący jak rozhukany rumak w ostatnim tygodniu życia w szalonych podskokach, skonał, złamawszy kark o północy w „piekielnéj" galopadzie...

Byłem nazajutrz na jego pogrzebie... Spoczywał na łożu usłanym z kwiatów, na ustach wybladłych błąkał się jeszcze lekki uśmiech wspomnienia czy też zawiedzionych nadziei, na piersiach miał przypięty order kotylionowy i maleńką niezapominajkę... Na okół całunu kwitły dwie „róże" i dwa „powoje," u wezgłowia stały marmurowe posągi „Aten" z wieńcem stokrotek na czole, i „Sparty" z śnieżną kamelią u skroni, u podnóżka palił się „płomień z nad Lutyni," nad zmarłym unosił się „pąsowy motylek," trzepocząc smutnie skrzydełkami... Złożono go w grobie, na który kapłan rzucił garść popiołu...

Smętny ten obchód tak mnie wzruszył drogi Władziu, że odtąd postanowiłem oddać się całkiem pobożnym rozmyślaniom i skrusze. Nie dziw się zatém, jeśli dłużéj niż zwykle milczeć będę — i bywaj zdrów a o przyjaźni mojéj, mimo napaści „Tygodnika Wielkopolskiego", dobrze mów.

Toujours le Même.

Szarada.

Pierwsze i trzecie żyje pośród leśnéj ciszy,
Drugie i trzecie często z ust chłopków się słyszy,
Czwarte zaś z drzewa, — jest postrachem Wschodu,
Wszystko — ostatni władzca zgasłego narodu.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 8: *Salami.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu L. H. w Poznaniu: Nie możemy. — Panu Czart... w Ko: Może później będziemy mogli do życzeń jego zastosować się. Pani Leokadyi W.: Wyszlemy pocztą. — Panu H. M. w Brukselli: Listownie się skomunikujemy. Tymczasem podziękowanie za pamięć.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)